

## Przemysław Cieślak – *Moskal jaki jest, każdy widzi*

Posłowie do *W oficynie Elerta*  
(Warszawa 2007)

Władysław Zambrzycki zaczął prowadzić swoje „luźne zapiski księgarskie” praktycznie od razu do szuflady. Bez żadnej nadziei na druk. Pokazanie najmniejszego fragmentu dziejów Rosji w negatywnym oświetleniu, z polskiego punktu widzenia, było dla cenzury komunistycznej niedopuszczalne.

Mówiąc 12 grudnia 1959 roku, w wywiadzie udzielonym dziennikowi „Kurier Polski”, o ukończeniu *W oficynie Elerta*, nie spodziewał się więc cudu. Chciał wyryć po prostu ślad bibliograficzny. Postąpił jak Gorczyn skarżący się, że „należałoby to gdzieś przechować, uchronić, żeby choć pamięć pozostała”.

Maszynopis, strzeżony przez rodzinę, nie zaginął. Ponieważ nie przygotowano go wcześniej do publikacji, dokonaliśmy stosownych poprawek redakcyjnych. Zmodernizowaliśmy i ujednoliciliśmy pisownię, skorygowaliśmy nieliczne niejasności stylistyczne. Przypisy skierowaliśmy na zapas, do młodszych czytelników.

\*\*\*

Dobrze spotkać się znów z niepowtarzalną, nie do podrobienia, prozą Zambrzyckiego! Cieszy pogodne ciepło i podszyty dyskretną nutą ironii humor. Czuje się, że autor lubi i szanuje swych bohaterów, że pochyla się nad nimi z życzliwą wyrozumiałością. Jego specyficzne, nieco staroświeckie (?) pisanie jakby nie dostrzega zła, oddala je w perspektywę słów łagodnych i zacnych.

Zdarzy się, naturalnie, że ktoś zajdzie za dotkliwie za skórę, jak Adam Jarzębski i wtedy trzeba stanowczej surowości. Ale ciężko i po trzech stuleciach wybaczyć zepsucie „niezdarnymi rymami i bezwstydnymi pochlebstwami” najstarszego przewodnika po Warszawie, rzadkości antykwarycznej, marzenia warsawianistów!

\*\*\*

Nie ulegnijmy jednak powierzchownemu wrażeniu. Nie da się zaklasyfikować *W oficynie Elerta* wyłącznie jako uroczej gawędy, opowiadania bibliofila „tak głęboko zagrzebanego w księgach, że świata miłego nie widzi”. Pasja i namiętność historiozoficzna, potrzeba rozdzielenia białego od czarnego, naszego od ich, zaowocowały goryczą i pesymizmem. Smutkiem, przeważającym nad uśmiechem bądź kpina.

\*\*\*

Warszawa, stolica Jana Kazimierza, wygląda niepokojąco swojsko. Warszawiacy plotkują, oburzają się, gonią za nowinkami („brazylijskie ziele tobacco znajdziesz na Rynku”), reagują zupełnie jak my, współcześni. Ahistoryzm, założenie, że jesteśmy zawsze tacy sami, niezależnie od epoki, prowadzi do pozornego lekceważenia pewnych realiów. Maria Elżbieta Elertowa, żona XVII-wiecznego patrycjusza, nie dysponując służebnymi, osobiście robi sprawunki i podaje do stołu. Energiczna i zaradna nabiega się niemało, lecz zdobędzie „półmich wybornych śledzi z Gdańska”.

Mamy do czynienia ze świadomie wykorzystywanym chwytem artystycznym. Przeszłość jest dziś, tylko cokolwiek dalej. Zambrzycki, mistrz literatury przyjaznej odbiorcom, uwodzi anegdotami i nazwiskami znanymi powszechnie, choćby ze szkoły. Pozwala zbliżyć się do Wespazjana Kochowskiego, Andrzeja Morsztyna albo Jerzego Ossolińskiego bez poczucia obcości wynikającej z dystansu czasowego. Oglądamy rozległą panoramę, odcyfrowujemy detale – i wciąga nas niepostężenie uroda następnych i następnych.

Pisarz skupia się na codzienności, powszedniej zwyczajności. Erudyta i miłośnik zakurzonych szpargałów, sypie szczerze sytuacjami i historyjkami nieobecnymi w annałach wielkiej historii.

Każdy wyszuka coś dla siebie. Jednego zaintryguje kunszt oratorski francuskiego komedianta Poquelina (pan Morsztyn nigdy o nim nie słyszał!), drugiego zainteresuje „denominacja ważniejszych ptasich głosów”. Kogoś rozbawią włóczęgowskie przygody małego Jasia (dorosły pan Jan Chryzostom nigdy się o nich nie zająknął!), ktoś zaduma się nad przyczynami moskiewskiej manii tłuczenia luster po pijanemu, ktoś wtłoczy się w ciżbę na Starym Mieście i będzie „zapamiętane dyskurował” o tajemnicach rosyjskiej duszy, z Azji rodem.

\*\*\*

Niechętne, wrogie Rosjanom stereotypy? Tak. Nie wzięły się one znikąd, powstały kiedyś i okrzepły z jakiegoś powodu, ukształtowane przez doświadczenia wspólne wielu generacjom Polaków. Obserwujemy, na gorąco, ich narodziny.

Adamandy Kochański, napomykając na Kałęczynie o prymitywnej konstrukcji taborowych wozów gości ze Wschodu „skrzypienie czyniących wielkie na podobieństwo kwiku przerażonej maciory z warchlakam”, powtarza za *Kroniką Sarmacyi Europejskiej* Gwagnina z 1611 roku (w edycji K.J. Turowskiego):

Kolasy mają proste bez żadnego żelaza, wiciami i rozmaitemi powrozy pokręcone, koło jedno z jednego drzewa foremną robotą pobocznymi śpicami zwarte, by na dalszą drogę wytrwa, oś nigdy mazi nie zna. A kiedy się ich wiele na one kolasy nasiędzie, to dziwnie wrzeszcza, że pod nimi osi skrzypieniem jakimśi, foremne narzekania z siebie wydają [...] i stąd ona przypowieść urosła: skrzypi by ruska kolasa.

Można określić Zambrzyckiego mianem etymologa spraw oczywistych. Uwielbiał ubarwiać przeszłość, z wdziękiem dopowiadać Jej korzenie, początki – bywa – piękniejsze niż przyziemna prawda.

Anonimowy powidok krasnoarmiejców obwieszonych trofeijnymi zegarkami zaciera się powoli w oczach kolejnych pokoleń. Po lekturze *W oficynie Elerta* wiemy przynajmniej dokładnie, który Moskal pierwszy zakrzyknął: „Dawaj czas!” Docenimy też, obrosłą tysiąckrotnym później naśladownictwem, decyzję Wańki Tarapajewa, aby „zdjąć kubraczek, złożyć w kilkoro, zarzucić na kolce palisady i hyc na tamtą stronę”.

\*\*\*

Powieść zarysowana jako obraz obyczajowy, przechodzi stopniowo w dramat polityczny z ostatnich lat świetności Rzeczypospolitej.

Tekst, szczególnie w drugiej części, coraz intensywniej nasycy się rozmowami. Troiście prowadzona narracja (Piotr Elert wygłasza okazjonalną kwestię) nabiera akcentów polifonicznych i w notatach pojawia się wewnętrzna dialogowość. Protagonisci zaczynają korespondować ze sobą, wymieniając myśli i spostrzeżenia. Zmienia się również forma przytaczania wypowiedzi. Elementy stenografii przejęte od „skryptora, co abrewiaturą pisze” sygnalizują już wprost konwencję sztuki teatralnej.

Osią przedstawienia są targi z wysłannikami carskimi, miejscem – Warszawa. Najważniejsze osoby wiodą obrady na Zamku, troje komentatorów wiążących akcję na proscenium, w księżnicy na Świętojańskiej, dba o wypełnienie czasu między antraktami, zaś w tle, w epizodach i scenach zbiorowych, przewija się tłum statystów – postaci wymienianych w miarę rozwoju wypadków.

Patrząc na ową inscenizację, widz nabiera nieuchronnego przekonania, że oto dzieje się coś bardzo ważnego i zarazem złowróżbnego. Na arenę europejską wkracza Rosja. Stanisław Piotrkowczyk przetrwa febrę dzięki „suchym gałązkom drzewiny zwanej chinchona” – cudownego leku na słabość państwa polskiego nie dostaniesz w królewskiej aptece.

Dochodzi wreszcie do momentu kulminacyjnego, do „plenerowego” finału na Rynku. Egzekucję książek, spalenie papieru, puentuje na drugim planie wiadomość o wywiezieniu kamiennej tablicy Szujskich – i pora na pożegnanie z publicznością. Biją dzwony na śmierć kanclerza Ossolińskiego. Gorczyn wyjeżdża do Krakowa, Elżbieta wraca do obowiązków gospodarskich, Piotrkowczyk odkłada pióro. Aktorzy schodzą z desek, światła gasną. Kurtyna.

\*\*\*

Ogłoszony u schyłku XIX wieku szkic *Poselstwo Puszkina w Polsce* stanowi nadal najlepsze opracowanie tematu. Zambrzycki niezwykle sumiennie – zgodnie ze wstępną zapowiedzią – trzyma się zamieszczonego tam wywodu. Prezentuje przebieg misji kremlowskiej rzetelnie, podług ustaleń źródłowych Ludwika Kubali. Polacy i Rosjanie, negocjując, istotnie kłócili się i usiłowali przechytrzyć wszelkimi dostępnymi sposobami. Odmienne panowały standardy zachowań. Dyplomacja przeplatała się z prywatnym handlem i nawet wyjątkowo „politycznie niepoprawne” incydenty, jak „połajanka pana Wessia z Posłem”, znajdują poświadczenie w ówczesnych diariuszach.

W sferze materii czysto literackiej, w obrębie wydarzeń możliwych i prawdopodobnych, autor nie związał się natomiast tak ścisłymi rygorami wierności historycznej. Przykładowo: Elert nie bujał wcale beztrąsko w obłokach dźwięków. Przeciwnie – stąpał mocno po ziemi i bezwzględnie egzekwował przyznane mu przywileje drukarskie, procesując się z konkurentami po fachu. Kochański, wybitny mechanik i matematyk, pobierał nauki w Toruniu, potem w Wilnie – nie w Warszawie. Jarzębski zmarł w 1649 roku. To nie Gorczyn nazwał patriarchę Filareta trębaczem przyszłej chwały...

Logika fabuły *W oficynie Elerta* rządzi się własnymi prawami. Fantazja musi mieszać się z rzeczywistością. Skoro w dorobku Jana Alexandra Gorczyna, wedle katalogów bibliotecznych, figuruje wśród innych tytułów, popularyzatorska *Tabulatura muzyki albo zaprawa muzyczna* (Kraków 1647), tedy czy nie Gorczy-

na właśnie – logicznie – powinno obciążyć się oskarżeniem o „zniewagę muzyczną”?

Na dozę umowności natkniemy się i w warstwie językowej. Zambrzycki sugeruje raczej staropolszczyznę niż jej używa. Delikatne zmiany składni i archaizmy leksykalne, niekoniecznie sięgające aż XVII wieku, stosuje oszczędnie i z wyczuciem. Najwięcej wolno Gorczynowi, bo nie został on zobligowany, jak Piotrkowczyk, do wypowiedzania się „gładko, bez łaciny, zrozumiale dla wszystkich”. Toteż z jego ust najczęściej padają wyrazy w rodzaju: „insula”, „olim”, „suffit”, „szrodek”, „szerść”.

Gorczyn jest zresztą najciekawszą i najmiłą pisarzowi postacią. Formalnie Piotrkowczyk gra rolę głównego narratora, ale ostatecznego błysku i smaku dodają utworowi Gorczynowe dysertacje i życiowe przypadki. Temu, wypisz wymaluj, „chudemu literatowi” warto poświęcić baczniejszą uwagę.

Teoretyk muzyki, heraldyk, rytownik, publicysta, w 1661 roku współwydawca „Merkuriusza Polskiego Ordynaryjnego”, lingwista i etnograf z Bożej łaski, człowiek wszechstronny, przywodzi nieodparcie na myśl księdza Benedykta Chmielowskiego, najśłynniejszego polskiego encyklopedystę doby przedrozbiorowej. Mimo że *Nowe Ateny* ukazały się dopiero w 1745 roku we Lwowie, obydwaj ci polihistorowie uosabiają identyczny typ niepohamowanego zachwyty dziwami, cudami i wspaniałościami świata. Obydwaj, żądni wiedzy pełnej, kompletnej, kolekcjonowali informacje zachłannie, żarłocznie – i absolutnie bezkrytycznie.

Piotrkowczyk mógłby rzec bez ochyby, iż ksiądz Chmielowski „choć nietutejszy, całkiem się do naszej kompanii nadaje”...

\*\*\*

Przerwijmy atoli domysły i stańmy ponownie na twardym gruncie faktów. Zacytujmy, w oryginalnym brzmieniu, *Kondycje Moskwie podane*, czyli podyktywane Rosji warunki kapitulacji pod Smoleńskiem w 1633 roku:

[...] Aby z zwinionemi Chorągwiemi, z zagaszonymi lontami, bez bębnow y trąbienia, do mieysca, od Władysława Krola naznaczonego wyszli, potym swoje znaki Chorągowie, do nog Iego Krolewskiej Mci położyli (trzykroć odstępuiąc, trzykroć pokłon czyniąc), y tak długo czekać, dokąd imieniem Krola Iego Mci Xsiażę Radziwiłł, Hetman W.X. Litewskiego, podnieść Chorągwi nie każe. [...] Zsiadszy z koni, do nog I.K.M. żebrząc łaski upadać maia, poki im Xsiażę Radziwiłł wznieść się, y wsiąść na konie nie każe, y głosem trąby lub dźwiękiem bębna, ustąpić nie pozwoli. [...] Z żaóbliwą pompą tak wielkie woysko czoóbitność zwycięzcy Władysławowi oddawało, snadno się dorozumieć, iż z gorzkością, gdy przy [...] ludney gromadzie Cudzoziemcow wszelakich; musiało [...] do nog Władysława upadać.

Karty z tymi bowiem, niewątpliwie, zdaniem – wyrwane z panegirycznej broszury Gorczyna *Pamięć o cnotach, szczęściu, dzielności niaśnieyszego y niezwyćżonego monarchy, Władysława IV*, odbitej w 1648 roku w krakowskiej Drukarni Stanisława Bertutowica – próbowano, na żądanie cara Aleksego I z dynastii Romanowów, unicestwić symbolicznie w Warszawie. A.D. 1650.